

część 18

Nie przypuszczałam, że „ten” czas będzie trwał tak beznadziejnie długo. Tym bardziej, że przecież mamy szczepionkę! W Stanach Zjednoczonych wprowadza się pierwszy skuteczny lek na Covid. Wszystkiemu winne „nieszczepy”! Pierwsze miejsce w nieszczepieniu zajmuje powiat Biała Podlaska! Daleko od nas? I cóż z tego? Rozmawiałam niedawno z kimś stamtąd. Wielki Boże! Co za naiwność... Cytuję: „u nas na wsi nikt nie choruje!!!!!! A poza tym nie wychodzimy z domu?????” Dodam, że cytowana osoba przejechała w tym czasie pół Polski. A co z zakupami – pomyślałam? Gdzieś w głowie kołacze na poły zapomniana myśl: „Jako te ptaki niebieskie... itd.”

Muszę się jednocześnie pochwalić, że ponad tydzień temu dołączyłam do „doszczepów” - zaszczepiłam się bowiem po raz trzeci!

Był nas dużo: staruszek i staruszków, zrobił się tłok, ale wszystko odbyło się zgodnie z procedurami i jestem dumna z naszej prawobrzeżnej dzielnicy.

Bez przesady z tą dumą. We wszystkich sklepach i sklepikach przeważa „bezmaskowie” – głównie wśród młodych, co najgorsze jednak, że ci bezmaskowcy są najczęściej bardzo gadatliwi, co zwiększa ruch powietrza i ewentualną emisję wirusa.

Dość narzekań! Kiedy byłam młodsza, mówiło się: byle do wiosny! Więc powtarzam: byle do wiosny! Chociaż... Ta złota na razie jesień, także jest urokliwa.

Tymczasem, Panie z biblioteki znowu zgotowały mi przemiłą niespodziankę. Dostałam aż dwie na raz książki Alka Rogozińskiego! I to nie byle jakie. Pierwsza (już przeczytana), to: „Ukochany z piekła rodem”. O drugiej napiszę po przeczytaniu.

Już na początku radość! Starzy znajomi: Krzysztof Darski (komisarz), Tygrys Złocisty (gangster), Klaudia Hutniak (przebrzmiała diva) i nowi: Joanna i Betty, szczególnie rzucająca się w oczy: Ptasznik (scena z pogrzebu: „...Alina Ptasznik wyglądała za to jak niedźwiedzica, która przez przypadek zaplątała się w czarny namiot „ – no i ten najważniejszy, tytułowy: najpierw kochanek i fotograf, później denat...

Ta książka, to debiut Alka Rogozińskiego – o którym rozczulająco pisze w „Tytułem wstępu...”

Mam, to oczywiście, pewne uwagi odnośnie może rzeczy drobnych ale dla mnie istotnych. Skąd np. szanowny autor tak doskonale rozeznaje się w zawartości damskich torebek? Czyżby w czasie wolnym od pisania zajmował się penetracją tychże? Wiem! Wiem! Pisarz kryminałów powinien wiedzieć dużo więcej, aniżeli jakiś, powiedzmy sobie historyk – dokumentalista. Na nasze, kobiet usprawiedliwienie: Kiedy pełni się w życiu tyle ról, pracuje na tylu etatach co my – kobiety, to nasze torebki nie mogą służyć li tylko ozdobie, one muszą ZAWIERAĆ wszystko co jest niezbędne.

Nie sposób nie wzruszyć się przywiązaniem komisarza Darskiego do mamusi i jego codzienne z nią (telefoniczne) rozmowy. Do tego starsza pani ma wyraźne talenty detektywistyczne, a to pomaga synowi w tropieniu zła.

W ogóle: po przeczytaniu książki cudownie się odprężyłam i o to właśnie w tych trudnych czasach chodzi.

Przekonajcie się! Przeczytajcie!

Czytuję książki dostarczane z różnych źródeł. Najczęściej od pań z bibliotek (obu), także z rekomendacji mojego ulubionego tygodnika „Przegląd”, czasem – coś przypadkiem wpadnie mi w ręce, a zdarza się, że ogarnięta wspomnieniem, sentymentem czytam lekturę związaną z dziejami rodziny. I tak trafiłam na „Lwowskie gawędy”, autorstwa Kazimierza Schleyena. Mało znany pisarz, publicysta, badacz lwowskiego folkloru, jeden z obrońców Lwowa. Cytuję: „Lwowskie gawędy” przekazują bezpretensjonalne obrazki widziane jedną parą oczu patrzących z miłością i tęsknotą”.

Powiązania rodzinne? Mój mąż to rodowity lwowiak! Cała jego rodzina uciekła ze Lwowa w 1943 roku przed terrorem trzech okupantów. Sześćoletni wówczas Jurek zachował w sercu sentyment do tego niezwykłego miasta. Wielokrotnie do Lwowa jeździł. W poszukiwaniu „straconego czasu”?

Najstarszy brat mojej mamy, jako dziewiętnastoletni gimnazjalista zginął w obronie Lwowa, pozostał tam na wieki na Cmentarzu Orłąt, a pomnik – dokument tego wydarzenia ma w swoim rodzinnym miasteczku na Podkarpaciu, 35 km od Sandomierza.

„Lwowskie gawędy” to bardzo zwyczajna i przepełniona tęsknotą lektura. Schleyen pisał ją na obczyźnie, po II Wojnie pełen nadziei, że wróci tam, jako

pełnoprawny obywatel. Wielu lwowian tak sądziło. Życie narzuciło inne rozwiązanie, które niestety, nie zależało od nas Polaków i to nie my Polacy decydowaliśmy o powojennym ładzie.

Bardzo cenną wg mnie cechą „Gawęd” jest bałak, czyli charakterystyczna lwowska gwara. Jest nawet na końcu książki słowniczek najpopularniejszych słówek. Czytając ten słowniczek, ze zdziwieniem odnajdywałam powiedzenia, które słyszałam w moim rodzinnym domu. Muszę dodać, że moje rodzinne miasteczko leżało przed II Wojną w województwie Lwowskim. Wpływy były, o Lwowie mówiło się w moim domu z estymą.

Po II Wojnie lwowiacy rozproszyli się po całej Polsce, niektórzy nie wrócili z emigracji. Są i tacy, którzy wierzą, że Lwów wróci do Macierzy.

Gawędy są istotnie bezpretensjonalne, dzięki temu może czytać je każdy: prosty człowiek i wykształciuch. „Gawędy” – to spacer po dawnym Lwowie, to ludzie, ci zwyczajni i ci wybitni, to specyficzna aura tego miasta, otwarte serca, gościnność i ... Mogłabym wymieniać jeszcze dużo, dużo cech charakterystycznych, których nie dałoby się przyporządkować żadnemu z innych utraconych miast.

I jeszcze rzecz niezwykła – folklor lwowski. Przypominam sobie, że śpiewało się w dzieciństwie i jeszcze później – na studiach: lwowskie piosenki. Różne. I te batiarskie i te kabaretowe, chociaż libretto do opery St. Moniuszki – „Halka” i nuty, jeszcze przed wojną tato przywiózł ze Lwowa.

I tak, o Lwowie można by pisać i pisać. Temat niewyczerpany. Zachęcam do przeczytania tych, którzy stamtąd przybyli, ich potomków, ale także tych „obcych”, bo warto chociaż na krótko „zanurzyć się” w tej niezwykłej aurze.

Jeszcze raz Rogoziński! Panie Alku proszę przyśpieszyć pisanie i wydawanie, my – wierni czytelnicy wierzymy w Pana i czekamy na każdą nową książkę, prosimy także, ażeby nasi stali bohaterowie, na czele z komisarzem Darskim byli z nami.

Czas na konkrety. Najnowsza moja lektura, to: „Złap mnie, jeśli umiesz”. Rok wydania: 2021 – czyli świeżucha! Zapowiadany ciąg dalszy. Nie mogę się doczekać. Obok starych znajomych jak to u Alka – sporo nowych i niespodziewana atrakcja: świnka Dolores! Pamiętam ze szkolnej biologii, że świnki są bardzo inteligentne, ale żeby aż tak, jak Dolores? No tak! Skoro ludzkie plemię jest coraz mądrzejsze, ba – przemądrzałe, to dlaczego ssaki

miałyby pozostawać w tyle? Róża Krull – pisarka kryminałów wysuwa się w tej powieści na czoło, żal mi jej z powodu nadwagi, ale swoją drogą Pepe to prowokator, fałszywy przyjaciel, prześmiewca. Broń nas panie Boże od takich przyjaciół. Wprawdzie każdy z bohaterów niezależnie od płci ma przypiętą łatkę, a nawet łatkę – to kobiety Rogozińskiego mają ich zdecydowanie więcej. Wobec tego – protestuję!!!! Nie jesteśmy „blondynkami”, chociaż czasem je udajemy, żeby podbudować naszych chłopaków. Przyznam, że jest to coraz trudniejsze...

Muszę pochwalić autora za dobór imion i nazwisk. Z jednej strony przywołuje imiona zapomniane (Cecylia!) z drugiej zaś, rodzice nadają dzieciom imiona dziwaczne i często nie pasujące do nazwiska. Taka Dżessika Bąk! Od razu wiadomo, że będzie to bohaterka negatywna... I to niestety fakty. Kiedyś w książce telefonicznej natknęłam się na Dolores Miednicę, ktoś mówił o Glorii Kurnik i jeszcze dużo, dużo takich nieszczęsnych zestawień, które danemu osobnikowi, mogą przysporzyć w życiu wiele problemów. Nazwisko bohatera także może spowodować bądź sympatię czytającego, bądź odwrotnie. Dlatego Jodełka (Barbara) od razu jest moja „ulubiena”. Jej mama, też Jodełka - już mniej, chociaż jej znajomość żywotów świętych – jest imponująca.

Książka niedokończona, czekam na część drugą.

Zdarza mi się powtarzać, że książki często trafiają do mnie przez przypadek. To wszystko przez Covid i utrudnienia komunikacyjne. Ta, o której teraz napiszę, trafiła raczej przez pomyłkę. Temat: Powstanie Warszawskie - jest przeze mnie tak przerobiony, że nie spodziewam się zaskoczenia. Kiedy jednak już w domu zorientowałam się, że dostałam „Dziennik powstańca” spisany przez Zbigniewa Czajkowskiego – Dębczyńskiego, zdecydowałam się wrócić do tematu. Nie żałuję. Spojrzenie uczestnika na tamte wydarzenia, potwierdza to, co każdy zorientowany wie na pewno. Zgroza! Garstka źle przygotowanych powstańców przeciwko uzbrojonemu po zęby okupantowi. Obrazki z budowania barykad „z czego tylko się da”, np. wory z makulaturą, wózki, materace i tego typu przedmioty nie były żadną przeszkodą dla tygrysów. I cóż z tego, że powstańcy śpiewali: „a na tygrysy mamy visy...” Jeden pocisk z czołgu zmiatał z niemałym trudem zbudowaną barykadę ...

Mam w głowie tę okropną liczbę 200 000 cywilów – zasypanych, unicestwionych.

Autor przeżył, pomimo iż był tam, gdzie było najgoręcej. Po upadku powstania dostał się do niewoli. Po wojnie wyemigrował do Anglii, gdzie opisał swoje

powstańcze dzieje i chociaż pierwotnie nie miał zamiaru ich wydać – zmienił zdanie.

W Polsce „Dziennik powstańca” ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego Kraków w 1969 roku. Polecam zainteresowanym tym tematem. To oryginalny dokument.

Na koniec października zawędrowałam daleko na północ, prawie pod koło podbiegunowe. Islandia! Państwo – wyspa. Zagubiona pomiędzy Atlantykiem, Morzem Grenlandzkim i Morzem Norweskim, a jednak w Europie! Kojarzy się z wulkanami (Hekla –największy) i gejzerami, słabo zaludniona i dla mnie jakaś ponura. Wydaje się miejscem idealnym na wydarzenia niesamowite, kryminalne. Tak zresztą miejsce to przedstawia rodowita Islandka – Yrsa Sigurdardottir, autorka thrillera „Trzeci znak”. Akcja dzieje się współcześnie, ale tematyka sięga odległego XVI a nawet XV wieku. Niemiecki student poszukuje sławnego dzieła: „Malleus maleficarum”, które wprawdzie zapisane na kontynencie, miało znaleźć kryjówkę na Islandii. Harald – pasjonat szesnastowiecznej historii trafia na trop. Godna podziwu jest jego wytrwałość w poszukiwaniach. Niestety, sukces zamienia się w horror. Harald zostaje zamordowany. Opisy poszukiwań są pełne grozy, której dopełnieniem jest zimowa aura, ciemności, ponure krajobrazy, mroczne rytuały i dziwni ludzie, w tym grono kolegów uniwersyteckich Haralda. Książka – dosłownie: mrozi...

Asfiksjofofilia... Czy wiecie co oznacza to dziwne słowo? Rytuał na granicy zboczenia. A jednak są ludzie, którzy to robią. Myślę, że dostatecznie pobudziłam ciekawość miłośników tego typu literatury, jednak, z całą stanowczością odradzam lekturę młodym dziewczynom, wrażliwcom – niezależnie od wieku i kobietom w ciąży, tudzież – karmiącym.

Maria Zarańska - DKK Sandomierz